

# Vaast

---

(c) 2012 by Emma Popik

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez autora. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody autorki. Zabrania się jej odsprzedaży, zgodnie z regulaminem zawartym na stronie autora.

www: <http://www.emmapopik.pl> email: [popik@koti.pl](mailto:popik@koti.pl)

# VAAST

Był naprawdę olbrzymi. Rozciągał się poza krańce wielką, błękitną przestrzeń. Poza nim nie było nic. Cieszył go własny bezmiar. Czasami oglądał swoje odległe pięty lub zdumiewał się doskonałością łokcia podłożonego pod głowę. On stworzył swoje pięty i łokieć oraz własne piękno i zachwyt nad nim. Był artystą, potrafił studiować kształt swego paznokcia przez tysiąc lat.

Był sam, istniał tylko on. A poza nim Ciemność, on ją zresztą stworzył. Ciągle coś tworzył, inaczej nie umiał istnieć. A właściwie nie musiał robić niczego, wszystko powstawało samo, dlatego że istniał on. Takie było prawo – i to również on powołał je do istnienia.

Ciemność była mu potrzebna, by lepiej widzieć. Kiedy chciał się przyjrzeć własnej dłoni, musiał ją zbliżyć do oczu. Mijały epoki, choć dla niego trwało to chwilę, zanim jego świetliste oko spoczęło na widoku ręki. A w takich razach z Ciemności był pożytek, stanowiła tło, jak czarny papier.

– Czy tobie nie jest wiadome – zagadnęła go kiedyś – co się dzieje, gdy poruszasz dłonią? Gdy rozszerzasz palce?

Właściwie wiedział, lecz wolał nie formułować słów, bo one przecież były gliną. Powstrzymywał się od tego, by myśl zgęstniała jak rzadkie mleko w twaróg, a ona w treść, bo wówczas coś zostałoby powołane do istnienia.

Ciemność się nie odzywała przez lat miliony pokazując w ten sposób, jak ją obrażono, więc w jej tonie pobrzmiwała zgryźliwość, kiedy przemówiła po raz wtóry.

– Od poruszenia małym palcem wybuchły wielkie słońca i wciąż rozsypują swój blask. Sięga on chyba aż do twego łokcia. Raczyleś już o tym zapomnieć – ciągnęła z wyrzutem – lecz te słońca wciąż wypromieniowują z siebie materię.

Pamiętał, oczywiście, nie umiał zapomnieć niczego, co uczynił, lecz wolał tego nie wiedzieć, by coś znowu się nie wydarzyło. Olbrzymie, nieskończone przestrzenie płynęły rzekami, otwierało się niebo za niebem, jak wielkie okno. Nie odpowiedział. Nie chciał, więc nie mógł, bo znowu myśl by zgęstniała w kłaczki zawieszony, w której by się zaroilo od licznych istnień, jak w gnieździe pszczół.

– Sądź, że potrafisz wszystko! – prowokowała go. – Więc dlaczego nie wstrzymasz tego ruchu? Blask raz i mnie w oczy. Słońca się rozsypują, lecą promienie jak pyłki dmuchawca. Czy wiesz dokąd? Przewidziałeś i określiłeś ich drogę? A sądź, że wszystko jest tobie wiadome!

Nie musiał brać do ręki cyrkla, by na arkuszu nieba nakreślać linie dróg. Nie potrzebował linijki, by połączyć prostą kreską gwiazdę z planetą, która powstanie tam, gdzie doleci blask. Naiwna Ciemność sądziła, że będzie wypowiadał prawo: „Leć! I rób tak, a nie inaczej!” – za każdym razem, kiedy ze swej myśli wypuści nową galaktykę, tak jak się wysypują ziarenka maku z makówki.

Wiedziało światło, dokąd lecieć, bo to wynikało z jego nazwy. Znały galaktyki kierunek swego obrotu i nie pomyliłyby lewej strony z prawą, chociaż nie miały o nich pojęcia. Musiały się obracać we właściwą stronę, z tego powodu, że były galaktykami. W ich nazwie zawarł wszystkie prawa.

Nie wiedziała o tym Ciemność, więc zapytała znowu po milionach lat, urażona i zła, że nie dał jej odpowiedzi. Mając tylko swój gniew, który jej zamazywał

rzecz oraz pytanie, nie potrafiła odgadnąć żadnego prawa, gubiła się w ciemności.

– Samowola! – wykrzyknęła kiedyś. – Oto się roją galaktyki, jak mikroby w kropli wody. Robią sobie co im się podoba. Jeszcze zupełnie niedawno, chyba przed paroma miliardami lat, były gródką światła podobną do gęstego mleka. Nagle się rozprysnęły na miliony milionów. Jest ich tyle, ile piasku na pustyni. A w każdym ziarnku słońca są i planety. Mokra i ciepła w wilgotnej przestrzeni, jak w garnku parującego mleka. Co się w niej urodzi? Powiedz! Pełno-kropki na twej twarzy i wąsach. Jeśli się poruszysz, spłyną i rozbiwszy rozprysną. Umrą! Uważaj, byś nie zadrzał! – szydziła Ciemność.

Nie wiedziała przecież, że cokolwiek zostało stworzone, nie mogło przestać istnieć. Był w stanie tworzyć nieustannie, jeśli brakło mu miejsca, otwierał nową przestrzeń.

Ale Ciemność wciąż okazywała niezadowolenie i często milczała albo obracała się w sobie ze złością i miażdżyła w węzowych splotach wiele światów. Kiedy jej później wysypywała z siebie, obróciwszy się na bok, były to zarażone ciemnością, dzięki jej dzieci. Wirowały jeszcze przez całe millenia, ale musiały w końcu umrzeć. Czula wówczas tak wielkie zadowolenie, że nawet nie chciało się jej szydzić.

– Umarły! Sam widziałeś! – Nie wytrzymywała wreszcie, z triumfem przewalając się na plecy.

Nie odpowiadał jej nigdy, wiedział, że kiedyś podejmie myśl w tym samym miejscu i żaden ze światów zniszczony przez Ciemność, a przez niego powołany do życia raz jeszcze, nie będzie wiedział o swej przerwie na niebyt. Żył w jego pamięci, a więc istniał naprawdę.

Czekała, że uczyni jakieś posunięcie w odpowiedzi na to, co zrobiła, lecz nie było odzewu, nie raczył. Nie chciała rozumieć, że nie dawał się wciągnąć w jej grę nie stawał z nią do wyścigu. Leżała długo i spokojnie, dobrze wiedząc, że czas nie gra roli i niecierpliwość nie może zostać użyta w zapasach, w których tylko ona brała udział. Czas nie istniał. Stan ów trwał parę nieskończoności, nagle pękło jej zadowolenie, rozprysnąwszy się jak wielki bąbel magmy na oceanie – miał on potem zgęstnieć w planety. Ryknęła nagle, otwierając w sobie wielką dziurę wiejącą czernią i dymami. Wrzeszczały jej usta, oczy pogłębiały się w dwa wielkie leje. Ryk był dźwiękiem, jaki wydają maszyny, kiedy na siebie wpadną i miażdżą się, z pękaniem metali krzyczą żelaznymi płucami.

W dziurę wpadały światy i epoki, zatrzymywał się czas, materia, zamieniona w płyn, ciekła – wpływając w czarny kocioł. A potem ona z wściekłości zaczęła wpływać głową w dół, pochłaniając samą siebie, jak rzeka zamieniona w wodospad. Przypominała zwierzę, które gryzie swój własny ogon. Szalała długo, miotając się i mięsząc, jak czarne, złe ciasto, a kiedy wydała już z siebie śmierć, urodziła rozpacz. Wiedziała jedno: że jej posunięcia są bez znaczenia, istnieją same dla siebie, bo nie mają lustra w jego oczach.

Wydała więc ze swych wnętrzości zwątpienie, leciała niby kula utkana z czarnej wełny i rozsypując się zaczęła swe nici o rogi gwiazd. Zwisły potem długie i czarne, jak zapomniana sonda głębinowa, maciły wiry, aż tonęły w nich planety. Nigdy się już z nich nie wydostały, gdyż zgubiło je zwątpienie.

Aż się przesiliła i rozpękła na wielkie bryły, niby węgiel. On wciąż się powstrzymywał od tworzenia sądząc, że ma czas przed sobą. Zawierał się w sobie, nie czując

ani nudy, ani upływu. Pozwalał Ciemności na wszystko, on przecież był jasnością i światłem, słowem.

Powstrzymywał się od nowych wzorów, był jedynym i najlepszym, ale nie do ogarnięcia i niewidzialnym. Nie mógł siebie zobaczyć, utworzył więc światy niewidzialne, istnienia od drugiej strony, byty od spodu. Nie używał materii do tego celu, ani nawet światła, lecz drugą stronę myśli.

– Cóż z tego !? – krzyknęły mu usta Ciemności prosto w niewidzialne ucho. – Widzisz wszystko, błękit i jasność, wielkość i pył. A w przestrzeniach jestem tylko ja, ciemność i rozpacz.

Jego wielkie, jasne oczy napełniły się łzami, jedna z nich potoczyła się po policzku i upadła w przestrzeń. Z niej powstało wszystko: miłość i szczęście.

Świat był już gotowy i nadawał się do zamieszkania. Pulsował życiem jak jedna komórka wypełniona płynem. Zawierał w sobie ciepło i miękkość, niby krwinka – taka była zasada. Milczał wciąż leżąc na błękitach i patrząc z góry. Był zbyt wielki. Oglądał swoje stopy i palce i wiedział, że jest nieogarniony. Powstrzymywał się od tworzenia, nadmiar go oplątywał. Pozwalał Ciemności ryczeć, a światom niewidzialnym przegłądać się w materii.

Nikt nie znał zasad ani prawd. Ciemność ich nie odgadła, materia przestrzegala nie pojmując, a światy nierealne istniały pod spodem.

Wtedy stworzył człowieka. A ten się obudził nagi, na piasku plaży, nad brzegiem szumnego oceanu. Otworzył przytomnie oczy i zobaczył światło. Spojrzał w niebo i na granatowe góry nie opodal, i na drzewa. Powiał wiatr, spadł listek, sypnęło piaskiem i do rzęsy przykleiło mu się ziarnko.

– Ach, tu się zawierasz – uświadomił sobie.

Wtedy zobaczył w swym umyśle przestrzeń, światło i ciemność jazgotliwą i złą. Zrozumiał, że należy do śmiertelnych. Listek z drzewa spadł mu na usta. Podniósł go, zbliżył do oczu i poprzez jego przejrzystą zieloność spojrzal na światło, zobaczył żyłkowanie. Pokrywało niebo i wszechświat.

– Ziarnko piasku, listek, żyłkowanie – pomyślał człowiek – oto istota i zasada.

I odtąd poszukiwał jej we wszystkim, zawsze wiedząc, że ma pozostać im posłuszny. To wszystko, co miał do zrobienia.